

DOWÓD

Nareszcie. Lata wysiłków i wyrzeczeń. Utrata wszystkiego, co określało osiągniętą przez wieloletnie starania pozycję. Nareszcie przyniosło to oczekiwany rezultat. Miał go. Był w posiadaniu najważniejszego dowodu w dziejach ludzkości. Stał się nagle strażnikiem najważniejszej tajemnicy, właścicielem odpowiedzi na najważniejsze pytanie. Nie zamierzał jednak zachować tego dla siebie. On postanowił to ujawnić. Za wszelką cenę. Jego największa obsesja, prymitywne uczucie szaleństwa znajdujące schronienie w umyśle od tak długiego czasu... Różne myśli przychodzą w takiej chwili do głowy: „jak długo to trwa?“, „dlaczego?“, „po co?“. Pytania, drzemiące w chorym z punktu widzenia „świata” umyśle, od samego początku. Wygonił je ze świadomości nadzwyczaj szybko. Teraz potrzeba planu, pomysłu, teraz trzeba wykorzystać posiadaną wiedzę. Co robić? Odpowiedź nasuwa się sama: Goodpolis. Miejsce upragnione, niezdobyte, nieskażone. Odwieczny i ostateczny obiekt pragnień większości ziemskiej populacji. Dobrobyt, prawo, czystość, cywilizacja. Enklawa dawnego świata. Właśnie tam musiał dotrzeć. Tylko w tym jednym miejscu na Ziemi znaleźć można tych, którzy wysłuchają, rozumieją i pomogą. A i jego nie ominie nagroda. O nie, tam naprawdę cenią takich jak on: tych, którzy dążą do prawdy, myślą i odczuwają. Tylko w Goodpolis nie zostanie zlinczowany za swe śmiałe odkrycie, swoją niesamowitą wiedzę. Pozostaje jednak jeden problem, paląca niedogodność psująca podniosłą chwilę, zamieniająca zwycięstwo w porażkę. Dzielące go od upragnionego miasta kilkaset kilometrów zdradzieckiej, śmiertelnie niebezpiecznej pustyni. Buforu oddzielającego potępionych od zbawionych. Nieprzebyty łąd. Zabójca pionierów. Czy zdoła on dotrzeć tam, gdzie nie może dojechać najpotężniejszy oddział sformowany w Aglomeracji, ziemskim piekle, miejscu ostatecznego i doczesnego spoczynku szarej masy – milionów zwyczajnych i złych? Pozostaje też najważniejsza kwestia. Cokolwiek się stanie, to musi skończyć się źle... Jeśli uda mu się dotrzeć do Goodpolis, przekornie przekreśli wszelkie szanse na swą wyniosłość. Przekreśli swoją wspaniałą teorię, lata pracy... ale dowody są niezbite! Pozostaje więc tylko ogłosić oczywiste, odsłonić monument ukrywający się pod grubymi płachtami materiału. Uda się! Czy wiara potrafi pokonać niepokonane? Tego jeszcze nie ustalił. Odpowiedź na to da mu dopiero podróż ku Goodpolis. Wszystko zostało postanowione. Decyzja, zła czy dobra, zapadła nieodwołalnie. Czas zacząć walkę. Miejsce na głębsze przemyślenia będzie później. Na odwrót miejsca nikt nie przewiduje. Niech los rozstrzygnie – jakież wydaje się to teraz przekorne! W chwili ostatecznego poznania, odkrycia kart odwiecznie nieprzeniknionych. Los, wkrótce poznany lepiej niż kiedykolwiek! Przedstawiony nam wszystkim! Do wozu, gaz

do dechy i kierownica obrócona kilkaset stopni w prawo. Kilka korekt, zmiana przełożenia, migające ulice pełne podłości i nienawiści. I tak przez kilka godzin, aż do ujrzenia ponurych szczytów na horyzoncie. Już są! Aglomeracja dobiega końca, ostatnie jej podrywy ukazują rozpadające się chaty najbiedniejszych z biednych. I właśnie w tym momencie następuje pierwszy zgrzyt pomiędzy człowiekiem i czymś wyższym. Potężny pociąg drogowy przebija się przez olbrzymią blokadę z wraków spalonych pojazdów i rozgniata wszystko tuż za wozem głosiciela własnej prawdy. Centymetry dzielące od śmierci zmieniają się w kilometry. Nie ma miejsca na sentymety i rozterki. Tym razem nie trafili – to jedyny możliwy i słuszny sposób na przeżycie. Wciąż nieznanne są możliwości, nikt nie jest wszechmocny. Myśli objijają się o się o ścian czaszki. Goniwa piękna, przekleństwa i zbawienia. Zwodnicza wolność myślenia istoty ludzkiej. Czy to też ich, jego, czy jak TO nazwiemy, wina? Brak odpowiedzi. Jest tylko fundament. Dopiero później lepsi od niego będą budować na nim kolejne kondygnacje, coraz piękniejsze i doskonalsze. Czas wyjaśni wszystkie tajemnice.

Tymczasem Aglomeracja została daleko w tyle. Przed maską wozy rysowała się nietknięta ludzką ręką pustynia. Nietknięta, lecz jednak powstała z jego inicjatywy, jak wszystko co najlepsze i najgorsze. Koła toczą się z obłudną szybkością po twardym i równym niczym asfalt piasku. Maksymalna prędkość, tylko on i jego myśli. Trzeba to przetrwać, by dotrzeć do celu. Zostało jeszcze kilka godzin. Góry będące zwiastunem Goodpolis rysowały się na horyzoncie coraz wyraźniej. Lecz to tylko pozory. Nie jechał aż tak szybko. Ponure miraż zbliżającego się celu miały go uspić, zabić w nim całą czujność, tak bardzo rozbudzoną ostatnimi wydarzeniami. Czy była to przemyślna taktyka pustyni, żywego potwora z piachu i kamieni, pragnącego pożreć go, schwytać w swe miałki wnętrzości, zadusić i zabalsamować w gorącym krzemie? A może znów daje o sobie znać niezbadane, pragnące ukryć w tej okolicy dowody swej winy? Nic nie było pewne. Jedyne, co można zrobić, to jechać, pędzić niczym wiatr na spotkanie z niepokonanym. Tumany lotnych piasków towarzyszące pojazdowi sprzyjały odpływaniu umysłu w inne rejony świata. Rozmyślał nad możliwością oszukania Ich. Co może się zdarzyć? Zmiana, upadek, koniec, a może nowy, lepszy początek? Na pustyni nic nie wydaje się oczywiste. Gorące podmuchy powietrza próbują zatrzymać silnik, zniszczyć wszystko to, co d tej pory udało mu się osiągnąć. On jednak walczy. Nie może ulec. Nie w tej sprawie. Jest teraz nadzieją całej ludzkości. Nie zawiedzie. Nie...

Trans zostaje przerwany nagłym szarpnięciem kierownicy. Pojazd zwalnia, zachowuje się coraz mniej pewnie. Trzeba stanąć. Jak spod ziemi wyrasta miasto ze skał. Skamieniałe

domy, ulice. Upiorne miejsce, jednak nie można wybrzydzać. Skały mogą przynajmniej zapewnić trochę cienia. Samochód zatrzymuje się po kilkuset metrach, pomiędzy skałą przypominającą przystanek autobusowy a olbrzymim głazem o niesamowitym kształcie. Drzwi otwierają się z cichym jękiem. Po opuszczeniu pojazdu, podróżnik zostaje owiany chmurą pyłu, serdecznie wbijającą mu ziarenka piasku w oczy. Sprawa wydaje się prosta. Przebita opona nie stanowi większego problemu, w bagażniku jest zapasowe koło. Beznadziejność sytuacji ujawnia się po podniesieniu klapy – koło zniknęło. Kolejna zagadka lub raczej kolejna kłoda rzucona pod nogi przez Nich. Teraz nie miał już wątpliwości: nie życzą sobie tej wiedzy. Nie chcą by to, co odkrył, zostało ogłoszone większej ilości ludzi. I zrobią wszystko, by dopiąć swego. A przecież sam odkrył niedawno, jak wielką dysponują potęgą. Co robić? Jest sam w środku pustyni, nie może jechać dalej, nie może też zawrócić. Pozostaje tylko jedno – trzeba zagłębić się w labirynt mrocznych uliczek skamieniałego miasta. Podróżnik słyszał w dzieciństwie opowieści o mieście pośrodku pustyni, zamienionych w kamień domach, wreszcie o tajemniczych zaginięciach w upiornym miejscu. Nie był jednak innej możliwości. Gdyby wrócił na pustynię, zginąłby w ciągu kilkunastu godzin. Z beznadziejną determinacją ruszył przed siebie, potykając się o kamienie, będące być może przedmiotami wykonanymi ludzką ręką. Powoli przesuwają się obok niego ponure gmachy, kamienne drzewa, hydranty i latarnie. Zniszczone, połamane, plugawe skalne rusztowania wisiały niebezpiecznie nad ulicą. Nawet nie zauważył płynnej zmiany kolorów i materiałów. Skamieniałe budynki z tyłu, szklane i stalowe z przodu. Tak samo latarnie. Nawet drzewa zazieleniły się okrutną zielenią. Nim dostrzegł różnicę, zapuścił się w przedziwną uliczkę zbyt daleko. Droga za nim zapętlila się, więżąc go w środku miasteczka, bez możliwości ucieczki.

Szedł tak cicho, jak tylko mógł. Unikał leżących na asfalcie kawałków szkła i plastiku. Mijane domy wyglądały niczym opuszczone jedynie na chwilę, zadbane posesje. Myśliciel starał się skoncentrować na znalezieniu czegoś przydatnego w jego wyprawie, lecz próby spełzały na niczym. Szedł więc przed siebie, rozglądając się i rozmyślając. Gonił myśli została brutalnie przerwana. Zza rogu wyszedł człowiek. Tak przynajmniej pomyślał podróżnik, lecz po ułamku sekundy zreflektował swoje bujne wyobrażenia. To, co wypełzło zza pobliskiego budynku nie mogło nosić tak dumnej nazwy. Istota przypominająca popromienne mutanty ze starych filmów archiwalnych, zlepek mięsa, skóry i włosów, nigdy nie powinna była się narodzić. Strach, który pojawił się po ujrzeniu „tego czegoś” był podświadomym, zwierzęcym odruchem nakazującym ucieczkę. Uczucie to wzmogło się, gdy

istota przemówiła, a raczej wydała z siebie przeciągły skowyt, pełen bóleści, żalu i nienawiści. Podróżnik stał jak sparaliżowany, nie potrafiąc zmusić się do najdrobniejszego drgnienia, mimo że każda komórka mózgu krzyczała: uciekaj! Nie potrafił. Stał tak, pełen obrzydzenia, lęku i fascynacji. Dziwoląg powoli kroczył w jego stronę na swych krótkich, koślawych odnóżach. Już nie wył, tylko piszcział ciekim, słabym głosem, wychodzącym jakby z głębi ziemi. Głos ten, mimo iż ledwie słyszalny, odbijał się echem od murów, zatrzymywał w umyśle, zagnieżdżał tam i wypuszczał jad. Podróżnik nawet nie zauważył kolejnych cieni wychodzących z każdego zakamarka miasteczka. Z każdą chwilą przybywało chwiejnych postaci, cudem utrzymujących równowagę na zdeformowanych nogach. Wszystkie krzyczały, krzyczały nieustannie, bez chwili wytchnienia. Każda sekunda była coraz większą udręką dla pełnego myśli umysłu. Myślenie stawało się powoli sztuką. Umysł wypełniała miękka papka, obrzydliwa, zniewalająca substancja, upiorna gmatwanina cudzych uczuć i myśli. W ostatni logiczny odruch mózg wygłosił krótką przemowę: nieźle sobie to obmyślili. Pozostało tylko czekanie, czekanie na śmierć, nieunikniony koniec w szponach tych potworów. Wszystko za wyraźną zgodą, a wręcz i zainspirowane przez Nich. Tajemnicza siła nieznanego pochodzenia, posiadająca wielki wpływ na każdego człowieka, mogąca pokierować całym życiem jednostki. Oto cała waga i doniosłość odkrycia: naukowy dowód na istnienie tejże siły, a nawet więcej – jej ściśle określenie. Jej pochodzenie byłoby wielkim szokiem dla każdego mieszkańca Ziemi, nawet dla śmieci z Aglomeracji. Każdy, nawet podświadomie, doceniłby wagę tej sprawy. Ale potrzeba było siły i zdolności Goodpolis. Przebycia pustyni. Pokonania przeciwności. Jednak okazało się to zbyt trudne. Pokonało go miasteczko mutantów, enklawa podłości i zepsucia, zniszczenia pierwotnego zmysłu Stwórcy. Myśli wyrzucane z prędkością światła. Myśli!? A więc jednak wiara znów pokonała potęgę? Czy istnieje taka możliwość? Nie wiadomo, lecz trzeba korzystać z każdej okazji, każdej możliwości. Podróżnik powoli otwierał oczy. Ujrzał pustynię, skamieniałe miasto i samochód. Swoją własny, gotowy do drogi wóz. Taki, jakim go tu zostawił. Powolne powstanie, otrzepanie się z pyłu, krótkie rozprostowanie kości i już mógł podbiec do samochodu, zająć miejsce za kierownicą i ruszyć ku majaczącym się wśród porannej mgły odległym szczytom gór okalających Goodpolis. Pustynia gościnnie prowadziła go przez piaszczystą nawierzchnię. Szybko osiągnął maksymalną prędkość, skierował się w odpowiednim kierunku i powrócił do swego ulubionego zajęcia. Ostrożnie rozpędzał myśli, pozwalając im wpływać na kolejne morza tematów. Znów rozmyślał o dowodzie, o Nich, o miasteczku. Właśnie, miasteczko. Jakim sposobem zdołał przeżyć? Gdy zobaczył pierwszego mutantą przypomniał sobie opowieści z dzieciństwa. Straszono go wtedy okropnymi stworami, porażającymi umysł i

pozerającymi ciała. Dawniej uważał to za bujdę, jednak od tamtego spotkania gotów był uwierzyć w każdą opowieść dotyczącą skamieniałego miasteczka. To, czego doświadczył wśród pustynnych skał zmieniło jego sposób postrzegania Ich. Dotąd uważał, że są jedynie wspomagającym pewne tradycje i zachowania, a piętnującym inne, niezbyt szkodliwym bytem. Teraz był pewien, że dysponują niesamowitą mocą, niemal boskimi możliwościami... jeśli można mówić o jakimś „niemal”. Dawniej szanował Ich, lecz teraz czuł przed nimi paniczny strach. Zmuszało go to do podjęcia nowych rozważań na temat miejsca i możliwości człowieka we wszechświecie. Wiedział, że jeśli dostarczy do Goodpolis dowody, którymi dysponował, wywoła potężną dyskusję, która zmieni świat. Jeśli tylko dostarczy dowód... Jeśli zdawało się coraz ważniejszym słowem, wymagało coraz głębszego zastanowienia. Jeśli to tylko gra, zabawa w kotka i myszkę? Jeśli potrafią Oni jednym ruchem zakończyć całą tę farsę, posłać go do diabła razem z jego kruchym dowodem? Krótki przeblysłk szybko został zdławiony przez bezgraniczną wiarę. Musi mu się udać, skoro pokonał już tyle przeszkód. Jednak można ich przechytryć, pokonać, przeciwstawić się im. Być może ta wiedza stanie się czymś ważniejszym niż jego pierwsze odkrycie? Człowiek jest jednak silniejszy, niż można by przypuszczać. Potrafi pokonać przeszkody przekraczające jego wyobrażenia, a więc prawdopodobnie posiada ukryty potencjał, nieznaną dotąd potęgę, możliwą do wykorzystania przez każdego przedstawiciela gatunku? W tym momencie, wśród pyłu pustyni, wszystko wydaje się składać w logiczną całość. Euforia, wspaniałe odkrycia, uczucie wolności i potęgi. Wędrowiec poczuł siłę, tkwiącą w nim potęgę, gotowość do jej użycia. Zastryk wielkości, tak potrzebny małemu, szaremu człowiekowi, słabej rasie, kosmicznym nieudacznikom. Może teraz nas docenią, teraz pokażemy, że jesteśmy ważni, potrzebni, najwięksi. Nie znamy jeszcze innych ras, lecz pragniemy być więksi i mądrzejsi od każdej z nich. I zostanie nam to zapewnione. Wystarczy trochę wiary w siebie i zrozumienie odkrycia wspaniałego głosiciela własnej prawdy, by zostać jednym z władców wszechświata. Dysponując siłą tak potężną, iż mogliśmy w pojedynkę przeciwstawić się nieznanemu bytowi, kontrolującemu przez stulecia nasze życie, potrafimy opanować wszystko, co znajduję się w zasięgu naszego nieskończonego wzroku, długich łap sięgających poza wymiary. Wszystkie będą nasze. Każdy z nich stanie się naszym oddanym wasalem. Przecież zawsze o tym marzyliśmy. Odwieczna potrzeba każdego człowieka zostania nareszcie zaspokojona. Staniemy się tym, czym zawsze chcieliśmy być. Potęgą, nieskończoną potęgą. Bogiem. Odwieczne dążenia i ambicje zostaną uzasadnione. Jeszcze tylko parę kilometrów, kilka minut jazdy samochodem, by potem zostać królem, cesarzem i hegemonem wszechrzeczy. Mury Goodpolis malujące się stałą na tle ciemnoniebieskiego nieba. Absolutna cisza, tak

dziwna i niespotykana. Wyłaniające się z mgiełki szczegóły, drobne sylwetki stojących na murach ludzi, wieżyczki strzelnicze do obrony przed dzikimi zwierzętami i bandytami. Zarysy potężnej bramy oddzielającej zwyczajny świat od enklawy normalności. Sekundy do panowania. Hegemon zbliża się do tronu, lecz nigdy do niego nie dociera. Wiązka ołowiu wbija się w blachę. Gorące stożki uderzają w wędrowca, przebijają skórę, łamią kości, niszczą tkanki. Krew zalewa podziurawione siedzenia, roztrzaskaną przez kule kierownicę i deskę rozdzielczą. Piaszczysta pustynia prześwituje przez dziurawą podłogę, snopy światła zalewają spoczywającą dotąd w półmroku przestrzeń między fotelami. Hegemon powoli, lecz wcale nie-godnie upada, zalewając się krwią. Pierwszy od wielu lat wypadek ostrzelania przypadkowego człowieka. Błąd systemu obronnego, przeprosiny wysłane w kosmos. Marzenia i plany pękające jak mydlana bańka. Kolejna smutna historia, niepoznana przez nikogo, ukryta między setkami innych wydarzeń. Dowód został unicestwiony. Jedyne ślad w Ich bezgranicznej pamięci mógłby świadczyć o istnieniu wędrowca, jego dowodu, jego majaków wśród pustyni i jego życia w Aglomeracji, mieście samotnych jednostek, jednostek tak często zbliżających się do prawdy i tak często brutalnie likwidowanych w chwili ostatecznego sukcesu, sekundzie odczuwania doskonałości spełnionych marzeń...

23.09.2006